Dodatek do Nr. 298 „Głosu Narodu".

Kraków, 5 listopada 1933 r. I.

GŁOS LITERACKO - NAUKOWY

wychodzi w niedzielę jako bezpłatny dodatek „GŁOSU NARODU"

Koń w malarstwie polskiem XIX i XX wieku

W miarę jak artyści polscy wyzwalając się z pod wpływów i kierunków malarstwa zagranicznego, zaczynają szukać tematów rodzimych, czyto w zwyczajach i życiu naszego narodu, czy w wielkich wydarzeniach z przeszłości, — siłą rzeczy musiał ich zainteresować jeździec i koń polski, — ów motyw, odgrywający tak doniosłą rolę w historji narodu.

Motyw ten, rzecz prosta, gra dominującą rolę u malarzy - batalistów. Pojawiają się jednak artyści, poświęcający się z zamiłowaniem gruntownym studjom nad koniem, — artyści, których twórczość w tym przedewszystkiem rozwija się kierunku.

Na czele ich kroczy uczeń Norblina, **Aleksander Orłowski** (1777—1832), ów Orłowski, któremu Mickiewicz poświęca tak gorące wspomnienie w „Panu Tadeuszu". Jakkolwiek Orłowski więcej jak połowę życia spędził w Petersburgu, jako malarz nadworny, to jednak cała jego twórczość nosi niezatarte, wybitne znamię polskości. On pierwszy potrafił z niesłychaną brawurą i fantazją iście szlachecką narysować prawdziwego polskiego konia, tworząc prawdziwe cacka artystyczne, rzucane niemal od ręki, od niechcenia. Konie Orłowskiego, to zwierzęta żywe, znakomicie uchwycone i odmalowane z całym realizmem.

Pod niezaprzeczonym wpływem Norblina pozostawali też **Jakób Sokołowski** (1784—1837) samouk - dyletant, który w swych akwarelach maluje niejednokrotnie konie, traktując je jednak jako szczegóły drugorzędne, uzupełnienie całości kompozycji, — dalej **Jan Rustem** (1770—1835) i **Józef Łukaszewicz** (1789—1850).

Natomiast **January Suchodolski** (1797—1875) maluje swe sceny z życia wojskowego, legjonów i powstania w sposób konwencjonalny, nie umiejąc włożyć w nie duszy i uczucia. Najbardziej znanym z jego obrazów jest „Śmierć Czarnieckiego", z doskonale narysowanym białym rumakiem, który wyciąga ze smutkiem łeb swój ku umierającemu.

* * *

Malarzem, który specjalnie umiłował konia i odtwarzał go wielokrotnie w sposób niezrównany, był **Piotr Michałowski** (1801—1855). Człowiek wszechstronnie wykształcony, a przytem doskonały gospodarz, zżył się z koniem, poznał znakomicie jego anatomję, umiał obserwować i uchwycić każdy ruch. Pod wpływem głośnych malarzy francuskich (Gros, Géricault, Charlet) wprowadza w obrazach swych pierwiastek heroiczny w traktowaniu jeźdźca i konia. Maluje wszystkie typy końskie od roboczego proletarjusza począwszy, poprzez galopujące czwórki przy wozach krakowskich i ciężkie, imponujące perszerony aż do wytwornych zaprzęgów i pełnych życia i temperamentu koni wojskowych.

Obrazy jego, głównie akwarele, imponują śmiałym rysunkiem, ruchem, życiem i prawdą.

Michałowski, — to dalsze ogniwo tego łańcucha, rozpoczętego przez Norblina i Orłowskiego, a wiodącego do Juljusza Kossaka.

* * *

Niemniejszym miłośnikiem konia, a bardziej jeszcze wrażliwym na jego piękno był **Juljusz Kossak** (1824—1899). Interesuje go ten temat we wszystkich przejawach życia społecznego: polowania, wyścigi, musztra, życie sportowe, wreszcie codzienne życie szlacheckie wieków minionych. Mimo całego realizmu w odtwarzaniu, Kossak idealizuje swój ulubiony objekt: jego konie, to stworzenia szlachetne, rasowe, o cienkiej szyi i cienkich, zgrabnych nogach, pełne wdzięku, — zawsze jednak żywe, prawdziwe i naturalne.

Koń Juljusza Kossaka, to prawdziwe arcydzieło, stojące o całe niebo wyżej od podobnych — naiwnych jeszcze i prymitywnych — prac Norblina czy Orłowskiego. Pod tym względem stanowi J. Kossak odrębną, niedoścignioną dotychczas szkołę sam dla siebie. I on również w malowaniu posługiwał się głównie akwarelą, imponując bogactwem barw i niepospolitą siłą ekspresji.

Rówieśnikami J. Kossaka byli: **Henryk Pillati** (1832—1894), którego sceny wojskowe odznaczają się sumiennem opracowaniem i pięknym kolorytem, **Henryk Rodakowski** (1823—1894) traktujący ten temat raczej ubocznie, **Stanisław Chlebowski** (1835—1884), który dzięki dłuższemu pobytowi na Wschodzie wzbogacił naszą sztukę o nowe, orjentalne motywy, **Aleksander Kotsis** (1836—1877), oraz **Feliks Sypniewski** (1855—1885), którego interesowało raczej malarstwo batalistyczne (kilka dobrych obrazów z dziejów husarji polskiej).

Wpływ Jul. Kossaka odbił się też na początkowej twórczości **Artura Grottgera** (1837—1867), który w swych rysunkach i akwarelach niejednokrotnie przedstawiał konie czy to pędzące, czy zaprzężone do powozików.

Inny zupełnie typ konia poznajemy w niektórych dziełach **Jana Matejki** (1838—1893). Czy to będzie „Grunwald", czy „Sobieski pod Wiedniem", czy „Kościuszko po bitwie pod Racławicami", — wszędzie tam koń będzie ściśle dostosowany do tematu i do ogólnej kompozycji, stanowiąc tylko jeden z niezliczonych szczegółów całości. I tu jednak widać, że postacie koni opracowane zostały z taką samą drobiazgową starannością, jak postacie ludzkie.

* * *

Druga połowa XIX wieku przynosi nam cały szereg pierwszorzędnych mistrzów pendzla, którzy w twórczości swej poświęcają specjalnie zainteresowanie koniowi.

Takim rdzennie polskim malarzem koni jest **Józef Brandt** (1841—1915). Jego koń ma typ nieco odmienny od wyidealizowanego „araba" Jul. Kossaka: są to raczej jakieś potwory, o wielkim, silnym łbie, szerokiem kopycie, rozhukane, pędzące w szalonym galopie.

Jest w obrazach Brandta jakaś żywiołowa wprost siła, jest ruch, jest niesłychana rozmaitość i barwność. Maluje z upodobaniem epizody z wojen szwedzkich i tatarskich, — umie jednak oddać równie świetnie ruch pędzącej w zaprzęgu czwórki („Na polowanie"), jak pełne wesołego nastroju „Spotkanie na moście", lub egzotyczny „Jarmark w Balcie".

Obrazy Brandta chwytają za serce swą bezpośredniością, żywiołowością i tym rdzennie polskim żywiołem, jaki się w nich wyczuwa.

* * *

Cały ten łańcuch, zaczęty od Norblina, zamyka **Józef Chełmoński** (1859 — 1914), jeden z największych artystów - malarzy, jakimi pochlubić się może polska sztuka. I w jego obrazach widzimy konie rozhukane, pędzące, żywe, namalowane z całym realizmem, tak jak je artysta widział. Konie, rzucone na tło wspaniałego, szczerze polskiego krajobrazu. Jego „Czwórki" czy „Trójki", których kilka namalował, sprawiają na widzu niezapomniane wrażenie. Te rozpędzone konie zdają się wyskakiwać poprostu z ram obrazu. Są żywe i prawdziwe.

* * *

Obok tych pierwszorzędnych gwiazd na firmamencie malarstwa polskiego w drugiej połowie XIX w. wyliczyć trzeba cały szereg innych, niemniej świetnych malarzy, którzy jednak w twórczości swej nie kładli specjalnego nacisku na ten jeden tylko temat. A więc znakomite sceny z polowań i obrazy batalistyczne **Aleksandra Gierymskiego** (1847—1874), szereg obrazów **Alfreda Wierusz - Kowalskiego** (1849—1915), **Tadeusza Ajdukiewicza** (1852—1916), który początkowo pod wpływem Jul. Kossaka maluje z zamiłowaniem konie i sceny batalij, następnie jednak przerzuca się do portretowania głów koronowanych, dalej **Józefa Ryszkiewicza** (1851—1925), **Stanisława Masłowskiego** (1853—1926), **Jana Chełmińskiego** (1851 — 1925), — i wreszcie **Zygmunta Rozwadowskiego i Wojciecha Kossaka.**

Wspomnieć jeszcze należy zmarłego w r. 1904 **Wacława Pawliszaka,** ostatniego romantyka współczesnego malarstwa, który tematy do swych obrazów czerpał z historji naszej XVII i XVIII wieku.

(R.)

Od płonącej szczapy do radjatora
centralnego ogrzewania

Mało z pośród dzisiejszych ludzi, korzystających z nowoczesnych urządzeń technicznych, zastanawia się nad długim łańcuchem wysiłków myśli ludzkiej, których wynikiem — zapewne niedostatecznym — jest np. dzisiejsza wygoda mieszkaniowa. Nie wyczarowało jej jakieś magiczne hokus pokus, ani nie wymyśliło tego wszystkiego jedno, jakieś genjalne pokolenie: zrobiło ono conajwyżej olbrzymi skok naprzód, ale żeby ten wielki skok można było zrobić, na to trzeba było wieków.

Weźmy np. taki piec. Jak to przyjemnie rozkoszować się w słotną jesień lub mroźną zimę ciepłem pokoju, zwłaszcza, gdy tego uczucia niezakłócają tak przykre akcesorja, jak swąd i dym. A jakąż wygodą w porównaniu z piecem jest radjator centralnego ogrzewania.

Od ogniska do radjatora postęp bezsprzecznie wielki, a jak się odbywał opowiemy w niniejszym artykule.

Zaczęło się bardzo dawno, bo wówczas, gdy człowiek mieszkał w dziuplach drzew i grotach. W tych pierwotnych domach szukał nasz protoplasta nietylko ustronnego miejsca dla wychowania młodego pokolenia, ale i zabezpieczenia swego ciała przed zimnem i gorącem, deszczem i śniegiem. Niewątpliwie drugim po domie donioslym wynalazkiem w historji kultury mieszkaniowej było wprowadzenie do wnętrza mieszkania ogniska. Płonąca więc szczapa drewna jest najstarszym przodkiem dzisiejszych urządzeń ogrzewalnych. Oczywiście wynalazczy instynkt ludzki nie mógł się tym prymitywem zadowolić, szukał więc lepszego rozwiązania problemu. Usiłowania te widzimy już w bardzo odległych czasach, czego dowodem ogniska dawnych szczepów skandynawskich. Ale daleka północ, najbardziej zainteresowana w walce z zimnym klimatem, nie posunęła sprawy naprzód, ograniczając się przez długie wieki do prymitywów, a jeśli w tej dziedzinie coś nowego zrobiono, to uczynili to... południowcy z nad Morza Śródziemnego, ludzie, którym ostatecznie zimno tak bardzo niedolegało. Tymi sprycjarzami byli Grecy, którzy zajmując się teorją ciepła doszli do wniosku, że najlepiej ogrzewać dom gorącem powietrzem. W oparciu o tę teorję, na tysiąc lat przed Chrystusem, gdy ośrodkiem krajów śródziemnomorskich była stolica Krety, miasto Knossos, wybudowano pierwszą instalację centralnego ogrzewania, niemal taką samą jak dzisiejsze, a ogrzewano nią pałac knossowskich władców.

Z zdobyczy Greków skorzystali oczywiście Rzymianie, którzy budowali swe domy o podwójnych ścianach

i podłogach, pomiędzy któremi przepływał strumień ciepłego powietrza, wytwarzanego w wielkich piecach, budowanych na uboczu.

I niewątpliwie tak wspaniały rozwój urządzeń ogrzewalnych byłby o wiele prędzej stał się powszechną zdobyczą kulturalnej ludzkości, gdyby nie ludzie... z zimnej północy, barbarzyńcy, którzy w III, IV i V wieku wtargnęli do południowej Europy.

W zamęcie wojennym, pod obuchem barbarzyństwa poszedł w niepamięć grecko - rzymski sposób ogrzewania mieszkań, a miejsce jego zajął z powrotem prymityw, niewiele odbiegający od swego starszego pierwowzoru: kociołek żarzących się węgli drzewnych. Nie bardzo można się było przy nim zagrzać, to też ludziska wynaleźli ciepłą szlafmycę, w której układali się do snu.

Kociołek z węglami przetrwał do XVI-go wieku ale i wiek XVII-ty nie wiele zmienił w technice ogrzewania mieszkań. Ludwik XIV, najpotężniejszy władca Europy mieszkał w pałacu wspaniałym, którego niestety nie można było... ogrzać. Powrót do ogniska, rozłożonego coprawda na pięknym kominku był nowym „wynalazkiem", ale i on niewiele ciepła użyczał komnatom.

Początek XVI w. przynosi nam pierwsze wzmianki o architektonicznem rozwiązaniu budowy komina współczesnego, umożliwiającego podtrzymywanie stałego ognia. Poczem od kominków przechodzimy do pieców. Grzało się przy nich dziesięć pokoleń ludzkich i dopiero po upływie tak długiego czasu, pod koniec wieku zeszłego przypomniano sobie rzymskie centralne ogrzewanie i powrócono do ogrzewania mieszkań parą wodną względnie gorącem powietrzem.

Nie wątpimy, że centralne ogrzewanie nie jest ostatniem słowem w tej dziedzinie. Jeśli uda nam się wyprodukować bardzo tani prąd elektryczny to wówczas proste włączenie prądu ogrzewać będzie nasze domy. Ileż to wówczas trosk codziennych nam znowu odpadnie!

B.

Organizacja medycyny międzynarod.

Z wysiłków i wyników medycyny publicznej na polu hygienicznem i sanitarnem nie łatwo zda sobie sprawę ten, kto nie pomyśli, że dzięki skurczeniu się odległości, przez rozwój szybkości w komunikacji, wzrosła niepomiernie możliwość przenoszenia się chorób zaraźliwych i epidemij. Dawniej, jeśli groźna epidemja wybuchła w Chinach, lub w centrum Afryki, my, tu w Europie, mogliśmy spać spokojnie. Na przybycie z krajów dotkniętych zarazą do nas potrzeba było długich tygodni. To też małe było niebezpieczeństwo, żeby zarazki zostały przeniesione przez chorego; zanim bowiem okręt, na którym chory zajął miejsce, przybił do brzegów europejskich, zarazki albo zginęły, nie powodując choroby, albo stan chorobowy został wytropiony. Zresztą środki kwarantanny zupełnie w tym względzie wystarczały.

Dzisiaj jest już inaczej, a jutro niebezpieczeństwo będzie jeszcze większe. Nowy stan rzeczy jest następstwem awiacji, która czyni świat tak małym, że zarażeni w okresie zawiązywania się choroby mogą przybyć do nas, nie wzbudzając podejrzenia co do zła, które ze sobą przywieźli. Bywają już dzisiaj i jeszcze gorsze rzeczy. Otó medycyna międzynarodowa notuje wypadki, że insekty podróżowały w samolocie i dotarły wreszcie do kraju, który posiadał znakomite warunki dla kultury mikrobów, które one ze sobą niosły. W danym wypadku zostało to wczas dostrzeżone, ale czy nie jest to przestrogą na przyszłość, gdy komunikacja powietrzna zacznie się zagęszczać?

Organizacja medycyny międzynarodowej porobiła w ostatnich czasach bardzo duże postępy, ale też i jej zadania stają się niepomiernie rozległe. Zarazy wcale nie należą do przeszłości. Lekarze i statystycy utrzymują, że epidemja influenzy (hiszpanki) w roku 1918 pochłonęła więcej ofiar niż wojna światowa.

Nie dziw tedy, że poszczególne narody rywalizują dziś na punkcie urządzeń sanitarnych i organizacji hygjeny publicznej. Nadto istnieją liczne organizacje międzynarodowe, czasami nawet za liczne, tak, że wchodzą sobie w zakres swych kompetencyj, albo wprost istnieją po dwie instytucje dla tego samego celu. Niemniej przeto rola tych urządzeń jest doniosła i warto się z niemi zapoznać.

Przedewszystkiem tedy istnieje od r. 1908 Urząd międzynarodowy hygjeny publicznej. Jego statuty zostały opracowane rok przedtem w Rzymie przez delegatów oficjalnych poszczególnych państw. Jego zadaniem jest rejestrowanie i badanie konwencyj międzynarodowych, odnoszących się do zdrowia publicznego, dalej gromadzenie i podawanie do wiadomości państw uczestniczących faktów i dokumentów o charakterze ogólnym mających związek ze zdrowiem i hygjeną publiczną. Rządy są zobowiązane podawać do wiadomości urzędu środki, jakie zamierzają wprowadzić, celem zastosowania konwencyj międzynarodowych, a urząd może udzielać im w tym względzie potrzebnych wskazówek i doradzać odpowiednie modyfikacje ich zarządzeń. Stały komitet urzędu obejmujący po jednym delegacie na państwo zbiera się przynajmniej raz do roku. Wydawany jest biuletyn miesięczny, bardzo cenny: zawiera on m. in. raporty o chorobach zakaźnych w krajach, gdzie ostatnio szerzyła się zaraza i o tem, jakie środki zaradcze zostały zastosowane, statystykę chorób i chorób zakaźnych w szczególności i t. d.

Drugą instytucją medycyny międzynarodowej jest organizacja hygjeny przy Lidze Narodów. Posiadając większe środki finansowe niż urząd międzynarodowy może iść znacznie dalej. Obecnie urząd jest organem doradczym dla Ligi Narodów. Ta zaś ostatnia podejmuje pewne zadania bardziej praktyczne. Organizuje ankiety na miejscu. Doprowadza do wzajemnej wymiany przez państwa lekarzy i hygjenistów. Razem, t. zn. Liga i Urząd dają inicjatywę do konferencyj międzynarodowych, mających na celu zbadanie ważnych kwestyj, których rozwiązanie stało się naglącem.

W stosunku do powyższych obu instytucyj trzecia instytucja międzynarodowa, a mianowicie Czerwony Krzyż, stanowi organizm wykonawczy. Mowa tu o Czerwonym Krzyżu w czasie pokoju, bo jego rola w czasie wojny ma odrębny charakter. Czerwony Krzyż organizuje ekspedycje do krajów, które aktualnie dotyka epidemja. Takie ekspedycje pozostawiają po sobie w kraju, w którym bawiły, pewien trwały ślad oprócz przyczynienia się do opanowania zarazy: rozpowszechniły mianowicie nowości sanitarne i hygjeniczne.

To wszystko, cośmy wyżej mówili, to była realizacja na skalę międzynarodową zdobyczy wiedzy. A teraz sama twórczość. Oczywiście ona się zwiększa. Ona powstaje u wszystkich badaczy, względnie w ich laboratorjach. Centrów twórczości może być wiele. Potrzeba jednak wiedzieć o ich zdobyczach, należy wytworzyć między niemi związek. Od tego jest czwarta instytucja: kongresy międzynarodowe. Świeżo odbył się taki kongres w Madrycie, poświęcony zwalczaniu raka. Trzydzieści pięć narodów było reprezentowanych. Oprócz kongresów międzynarodowych niemniej doniosłe znaczenie mają kongresy narodowe, co do których ustalił się zwyczaj, że goście zagraniczni mogą brać w nich udział; są zapraszani i wogóle są mile widziani.

Nad całym mechanizmem medycyny międzynarodowej trudno się szerzej rozwodzić, wystarczy jednak na zakończenie wskazać, że kongresom zawdzięcza się udostępnienie publiczne, a przedewszystkiem potwierdzenie i sprawdzenie szeregu odkryć w dziedzinie leczenia najtrudniejszych wypadków chorobowych, instytucjom zaś praktyki medycznej, jak zwłaszcza Czerwonemu Krzyżowi przypada w udziale zasługa, iż mimo rozwoju komunikacji i stosunków między narodami, szerzeniu się zaraz i epidemij kładzie się skuteczną tamę.

W.

Dzieje Chicago

Miasta - olbrzymy Ameryki północnej nie mogą pochlubić się długiemi dziejami, gubiącemi się w pomroce wieków. Chicago, mające dziś zgórą półczwarta miljona ludności obchodzi w roku bieżącym setkę lat swego istnienia i czci ją wystawą. Z tego powodu ogłosił Mr. Lee Masters monografję o przeszłości swego rodzinnego miasta.

Powstało ono na miejscu indjańskiej osady Checagou, ponieważ zaś przed Anglikami byli w tamtych stronach Francuzi, nazwa ta przekręcona nieco, wymawia się do dziś dnia jeszcze przeważnie „Szikago", chociaż coraz częściej słyszeć już można „Czikago". Pierwszy dom wybudował w roku ostatniego rozbioru Polski, Billy Caldwell, pół krwi Anglik, sekretarz naczelnika szczepu indjańskiego. W r. 1803 istniały cztery chaty, w następnym osiedlił się John Kinzie, zwany ojcem Chicago, którego syn odgrywał przez pół wieku pierwszorzędną rolę w mieście.

W r. 1830 osada miała 32 wyborców i uzyskała nazwę miasta, ale powstanie Indjan, przerwało jej rozwój i stąd właściwe dzieje zaczynają się w r. 1833. Grząskie, głębokie błoto stanowiło początkowo poważną przeszkodę przy budowach. Lecz wytrwałość i praca dokonały cudów. Pokopano kanały, a do wzrostu miasta przyczyniły się zbudowane w pierwszych latach jego istnienia koleje. Już w r. 1833 zaczęła wychodzić pierwsza gazeta, **The Chicago Democrat**. Pierwszą księgę adresową wydano w r. 1844. Wykazuje ona, że w tym czasie ludność była prawie bez wyjątku angielską. W r. 1871 zniszczył Chicago straszliwy pożar. W r. 1885 zbudowano ogromny gmach ratusza.

Autor monografji nie ukrywa bynajmniej ciemnych stron życia w swem mieście. Budowę ratusza opóźniły i podrożyły ogromne defraudacje. Zarząd miejski odznaczał się — nawet w Stanach Zjednoczonych — nieuczciwością. Aldermani (tj. radni) kupczyli koncesjami i placami, a ludność nadała im przydomek Szarych Wilków. Wreszcie stało się Chicago sławne z bandytów, pozostających doniedawna pod opieką administracji miejskiej, z napadów, uprowadzeń i nieznanych sprawców. Natomiast „zrobiło sztuce budowlanej prezent z drapacza chmur".

A. E.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

• • •

Wstrzymajcie pięści. Idziemy wszyscy razem.
Świat porwiemy oburącz, ciśniemy z rozmachem.
Jesteśmy jak rozpalone żelazo.
Idziemy prowadzić. Niema granic.
My wiemy: dokąd.
Nie sypcie gruzów pod nogi. Nie walcie w bronzy obuchem.
Pomniki są martwe. Słowo stało się duchem.
Święty duch płomieni się nad naszemi głowami.
Objął nas ogień. Jesteśmy światłem.
Chodźcie za nami.

Lotnicy

Chcieliśmy skrzydeł u ramion
marzyły się nam loty —
Kiedyż mi ręce skrzydlate zapłoną
i nieba dotknę się dłonią
Orzeł
na wichrze oparty
pod słońca potopem
wzniósł się powietrzny człowiek
Umarła radość śmierci
w krwi spalonej wstędze
szybują samoloty
rodzi się zachwyt życia w szumiącej potędze
Dokąd lecisz?
niema dróg, niema znaków
przelotne ptaki spadają do oceanu
deszcz szeleści jak wstążki dziewczyn
rozpędź chmurę słaniającą się na szlaku
jak lekko leci się wgórze
skrzydła nad morzem
palmy liljowieją na lazurze
odgoń obłok z szerokiego widoku
przy tobie
zachód słońca, wiszący ogród.

Rozsądna oszczędność

W czasie gdy państwa, mające dyktatorskie rządy, urządzają nieustannie obchody i pochody, jakkolwiek nie mogą bynajmniej uskarżać się na zbytek pieniędzy w skarbie, Anglicy stosują do tradycyjnych, od wieków odbywanych uroczystości — redukcje oszczędnościowe. Co roku odbywa się pochód nowoobranego lorda mera Londynu przez City. Zazwyczaj silono się na jak największy przepych historycznych strojów, tego roku jednak pochód będzie o dwie trzecie krótszy. Uczyćby się nam od „zgniłego zachodu".

Przeciw sensacji

W nowozałożonym tygodniku paryskim „1933" znany pisarz Paul Moraud występuje ostro przeciw sensacji powieściowej i dziennikarskiej. Ludzie tracą czas na lekturę opisów zbrodni i powieści kryminalnych, a przecież mogliby czytać coś pożyteczniejszego. Policja ujawnia, że wiele szczegółów o przestępstwach. A przecież zbrodnia to rzecz, przed którą społeczeństwo powinno się bronić, najlepszym zaś sposobem obrony jest, aby uczciwi mężczyźni i kobiety wcale o niej nie myśleli. Jest faktem, że każde przestępstwo, które stanie się bardzo głośnem, znajduje naśladowców. Odnosi się to zwłaszcza do rabunków, wykonanych ze szczególną śmiałością. Morand woła: Więcej świeżego powietrza w życiu umysłowem!

Lodovico Ariosto

W czterechsetną rocznicę zgonu poety

Żył w jednej z najciekawszych, jeżeli nie najciekawszej z epok. Własnemi oczyma spoglądał na świat niby na scenę teatralną, na której rozgrywała się właśnie podówczas dziejowa tragedja odchodzącego w przeszłość średniowiecza. On sam, co więcej, był jednym z głównych jej aktorów, uczestnicząc osobiście w gigantycznej przemianie, jaka dokonywała się na terenie dziejów ludzkości i sam narówni z innymi protagonistami epoki Odrodzenia przyczynił się walnie do jej kulturalnego i artystycznego rozkwitu. Miał dostęp do najwyższych godności politycznych, obcował z ludźmi, dla których historja zarezerwowała odrębne karty w swej księdze, mógł zakosztować do syta wszelkich rozkoszy zmysłowych i umysłowych, jakie wiek XVI otwierał przed człowiekiem wysoko urodzonym i wykształconym. A jednak nie był szczęśliwym. Życie znakomitego wieszcza włoskiego renesansu, pełne zmagań się z przeciwnościami losu, to jedna wielka odyssea, nieustająca pogoń za szczęściem, wolnością i niezależnością osobistą, do którego to celu doszedł dopiero u schyłku swych dni, na krótko przed śmiercią.

Ariosto przyszedł na świat w Reggio w roku 1474 jako syn pana Mikołaja dowódcy miejscowej cytadeli i Darji z Malaguzzich. Dzieciństwo i młodość upływały mu spokojnie i gładko bez żadnych silniejszych wstrząśnień zewnętrznych, które zazwyczaj wcześnie hartowały w tym czasie dusze ludzkie. W siódmym roku życia poety rodzice jego przenoszą się do Rovigo, w 12-ym mały Ludwik znajduje się w Ferrarze i tam już pozostanie na stałe. Z Ferrarą wiąże się ściśle cała jego twórczość literacka, pierwsze kroki stawiane na tamtejszej scenie dworskiej, późniejsze największe tryumfy, pierwsza (i jedyna) miłość, a wreszcie karjera dyplomatyczna, będąca niejako oficjalnym „zawodem" Ariosta, piszącego wiersze jedynie w antraktach między jedną misją a drugą, między jednem poselstwem a drugiem.

Władała wówczas Ferrarą książęca dynastja d'Este, jedna z najpierwszych rodzin włoskich epoki Odrodzenia, sławna nietylko doniosłą rolą, jaką odegrała w dziejach politycznych rozdrobnionego na niezliczone organizmy państwowe półwyspu apenińskiego, lecz przedewszystkiem światłym i rozumnym stosunkiem do literatury i sztuk pięknych. Jak w kilkadziesiąt lat później nieszczęśliwy szalejący genjusz Torquata Tassa, tak teraz nieprzeciętne zdolności Ariosta zwróciły uwagę dworu na osobę młodzieńca o szlachetnych rysach, wytwornem obejściu i rzadkiej dobroci serca, składającego tak wdzięczne rymy. Epitalamium skomponowane na uroczystość ślubu księcia Alfonsa z osławioną Lucrezią Borgią w r. 1502 i panegiryk na cześć księcia Hipolita z okazji objęcia przez tegoż biskupstwa w Ferrarze w roku następnym, zapoczątkowały nowy okres w życiu Ariosta, okres barwnego życia dworskiego, w gronie znakomitych poetów i artystów pędzla i dłuta, zbierających okruchy z pańskiego stołu wzamian za pochlebny wierszyk lub umiejętnie zadedykowaną canzonę.

Panem Ariosta był wspomniany wyżej kardynał Hipolit d'Este. Trudno o bardziej charakterystyczny typ człowieka renesansu, niż ten wyniosły i dumny książę kościoła, polityk zimny i wyrachowany, nie gardzący żadnym środkiem mogącym mu posłużyć do przeprowadzenia szerokich i ambitnych planów, a przytem hulaka i rozpustnik, o twarzy przedwcześnie zwiędłej, pooranej zmarszczkami mimo stosunkowo młodego wieku. Służba u niego była prawie niewolą, a dla jednostki tak namiętnie miłującej swobodę, jak Ariosto — poprostu torturą. Miłośnik wygody i spokoju domowego zacisza przez tych czternaście najokropniejszych dlań lat znajduje się jako poseł książęcy w nieustannych rozjazdach, zdobywając sobie wkońcu znienawidzony przez siebie przydomek „poeta cavallaro". Mantua, Bolonja, Florencja, Rzym, Medjolan — wszędzie był, wszystko zwiedził, wszędzie paktował i pertraktował, wystawał w przedpokojach i intrygował, on, prawdziwe „gołębie serce" czujące odrazę do fałszu i obowiązującej w stosunkach międzynarodowych obłudy. Niewiele mu z tych wypraw zostało wrażeń, a już prawie żadnego nie znalazły one odbicia w literackiej twórczości. A jednak, jak na ironję, właśnie w czasie takiej służbowej podróży uśmiechnęło się doń szczęście — oczami ukochanej kobiety.

Było to w roku 1513. Ferrara naciskana coraz groźniej przez zaborczą Wenecję szukała nagwałt sprzymierzeńców. Któż mógł być bardziej pożądanym protektorem, jeśli nie spadkobierca władzy piotrowej, potężny władca Rzymu, papież? Jedzie tedy Ariosto na czele świetnego orszaku do Wiecznego Miasta z misją od ks. Hipolita. I oto po jej wypełnieniu, w drodze powrotnej we Florencji spotyka dawną znajomą z Ferrary z lat młodzieńczych (kiedyś podkochiwał się w niej skrycie), pannę Aleksandrę Benucci, która w międzyczasie zdążyła wyjść zamąż i owdowieć. Urocza wdówka będzie z nim odtąd dzieliła wszystkie koleje jego życia, jako wierna i kochająca żona. Nieefektowne, lecz wzruszające siłą i trwałością uczucia jest to jedyne zresztą przeżycie miłosne wielkiego poety.

Sława jego literacka rośnie tymczasem i promieniuje coraz intensywniej na całe Włochy. W czterdziestym roku życia dorobek jego przedstawia się ilościowo wprawdzie dość skromnie, lecz składają się nań pozycje tej miary, co komedje „Cassaria" „Suppositi" i parę innych, szereg utworów okolicznościowych, związanych tematycznie z wydarzeniami zachodzącemi na dworze książęcym, no i wreszcie przecudowne sonety. Ponadto od dłuższego już czasu, bo od roku 1506 pracuje pilnie, choć z częstemi i długiemi przerwami nad wielką epopeją rycerską, będącą dalszym ciągiem wydanej niedawno historji o „Orlandzie zakochanym" Bojarda. Po dziesięciu blisko latach gruntownych studjów nad pokrewnemi utworami francuskiemi i hiszpańskiemi, po niezliczonych przeróbkach i poprawkach dzieło zostało wreszcie ukończone i w r. 1516 „Orlando furioso" — „Orland Szalony" — wychodzi z druku. Olbrzymich rozmiarów poemat, pisany oktawą, piękności dotąd niespotykanej nawet u poetów szkoły florenckiej „dolce stil nuovo" z końca XIII wieku, utwór, w którym rozmach epicki wprost genjalnie skojarzył się z głębokiem poczuciem humoru, a liryczny polot z niebywałą siłą dramatyczną — unieśmiertelnił nazwisko twórcy, wynosząc go za jednym zamachem do rzędu najgenjalniejszych mistrzów rymu.

W życiu Ariosta jednak narazie nic się nie zmieniło. Po staremu trzeba było kłaniać się w pas przed podskarbim księcia kardynała i posłusznie wytrząsać z siebie smutki na wszystkich gościńcach Italji. Chęć porzucenia służby i zmiany warunków bytu, a przedewszystkiem nieprzeparte pragnienie odpoczynku skłaniają poetę do korzystania z każdej nadarzającej się po temu okazji. Pierwsza próba przejścia w służbę Leona X kończy się kompletnem fiaskiem, ale drugą wieńczy pełny sukces. Oto w r. 1517 kardynał Hipolit zostaje biskupem na Węgrzech. Towarzyszy mu cały dwór, setki usłużnych satelitów spieszą w jego ślady, jeden tylko Ariosto mimo specjalnego zaproszenia, ba, nawet rozkazu — nie chce jechać. Klimat północny mu szkodzi — powiada — a zresztą jest przeziębiony, więc mimo najszczerszego żalu — zostaje. Kardynał nie dał się nabrać i rozstanie było dość burzliwe, niemniej jednak poeta ostatecznie postawił na swojem i nie pojechał. Poszedł teraz na służbę do księcia Alfonsa, było to jednakże typowe wpadnięcie z deszczu pod rynnę: książe przez prostą solidarność rodzinną wziął odwet za ów „klimat" okazując poecie całkiem niedwuznacznie swoje niezadowolenie. Niełaska nie trwała jednak zbyt długo. Już w roku 1520 Ariosto zostaje mianowany zarządcą małego kraiku Guartagnana, gdzie spędza cztery lata zakopany w górskiem pustkowiu, odcięty od całego świata, wściekły na księcia i na ścigający go pech. Z tem wszystkiem rządzi mądrze i sprawiedliwie, widocznie też nie czuł się najgorzej na posadzie gubernatora, skoro w 1523 odmówił kategorycznie zgody na awans na stanowisko posła Ferrary w Rzymie.

W dwa lata potem widzimy go znów w Ferrarze i znów w charakterze nadwornego poety. Czci go i podziwia całe miasto, komedje jego grają w specjalnie na ten cel wybudowanym teatrze, drugie i trzecie wydanie „Orlanda" zostaje dosłownie rozchwytane. Znalazły się i pieniądze, dzięki którym Ariosto staje się właścicielem domu z ogrodem — osiągając w ten sposób wymarzony cel życia. Nareszcie jest panem dla siebie i nie potrzebuje spełniać niczyich rozkazów, ani ulegać niczyim kaprysom. W miejsce podróżnika pojawia się zapobiegliwy gospodarz „glebae adscriptus", przywiązany do małego, lecz własnego kawałka ziemi i rozkoszujący się uzyskaną niezależnością materjalną. Pisze już mało, jeszcze gdzieniegdzie rozszerzając „Orlanda", dodając 6 nowych pieśni do dawnych 40, lub tworząc autobiograficzne „Satyry".

Wreszcie w roku 1533 — lat temu równo czterysta — umiera.

ZBIGNIEW PAPP

Skarby z Bibljoteki Bodlejańskiej

2 października otwarto w Oxfordzie wystawę zabytków elżbietańskich słynnej Bibljoteki Bodlejańskiej (istniejącej od r. 1602). Jest tu przedewszyskiem szereg rękopisów samej Elżbiety. Najwcześniejszy z nich to tłumaczenie francuskiej rozprawy protestanckiej p. t.: „Zwierciadło dla grzesznej duszy", noworoczny prezent 11-letniej księżniczki dla macochy, Katarzyny Parr. Prócz paru listów mamy tu dalej dwa inne przekłady, ofiarowane przez siostrę Edwardowi VI. Tym razem tłumaczyła Elżbieta z łaciny, kazanie Bernardinusa i mowę Cycerona Pro Marcello.

Drugi dział wystawy stanowią ważne akta i listy polityczne — proklamacja przeciw północnym magnatom Northumberlandowi i Westmorelandowi, którzy w r. 1569 powstali zbrojnie w imię praw Marji Stuart, list tej królowej do Elżbiety, a także korespondencja jej z Antonim Babingtonem, straconym za spisek na życie Elżbiety. Korespondencja ta była podstawą wyroku śmierci na Marję Stuart, z której stracenia zdaje relację inny wystawiony rękopis. Jest tu dalej akt, w którym papież Sykstus V. powtarza ekskomunikę, rzuconą na Elżbietę przez Piusa V., spis okrętów, wysłanych przeciw Hiszpanom w r. 1585 pod dowództwem słynnego żeglarza Sir Franciszka Drake'a i list do królowej Essexa, ostatniego z jej ulubieńców, którego ambicja zaprowadziła na szafot. Pismo to pochodzi już z czasów niełaski hrabiego i ten podpisuje się „wasz wygnany sługa".

Wreszcie obejmuje wystawa nieocenionej wartości pierwsze druki — „Lukrecję" Szekspira z r. 1594 i w tym że roku drukowaną sztukę „Pierwsza część walki między domami Yorków i Lancastrów", na której opiera się część II. „Henryka VI.", „Szkice" Bacona z r. 1597 i „Obronę poezji" Sidney'a z r. 1595; „Tamerlana" Marlowe'a i „Królowa elfów" Spensera z 1590, „Każdego w swoim humorze" Ben. Jonsona z r. 1601 i t. d. Jest także kilka zbiorów pieśni z nutami.

Największego jednak skarbu, jaki posiada Bibljoteka Bodlejańska z czasów Elżbiety, nie wystawiono. Jest to pierwsze wydanie „Wenery i Adonisa" Szekspira z r. 1593. Bano się wydobyć go z ukrycia nawet przy tej sposobności, jakkolwiek wszystkie eksponaty są troskliwie strzeżone.

A. E.

Najstarsza literatura francuska

Literatura francuska w chwili obecnej nie ma senjora czy nestora, gdyż senjorką czy nestorką jest pani Juliette Adam, która w swej willi, położonej o jakich trzydzieści mil od Paryża w pobliżu ruin starego opactwa, obchodziła właśnie 97-ą rocznicę urodzin. Jej pierwszy występ literacki przypada na rok 1858, kiedy stanęła w obronie zwalczanych przez konserwatystów poglądów pani George Sand na miłość i małżeństwo. Od r. 1879 do 1889 redagowała czasopismo **Nouvelle Revue.** W tym czasie jej salon literacki, w którym panowały radykalne przekonania republikańskie, był już sławny w Paryżu, główną zaś atrakcję stanowił często tam zjawiający się Gambetta. Gromadziła się też około pani Adam grupa młodych powieściopisarzy, których nazywała synkami. Z tych synków żyje tylko Paweł Bourget. Maupassant i Loti dawno zmarli. Pani Adam dwukrotnie wychodziła zamąż, po raz pierwszy w r. 1852. Jej drugi małżonek, Antoine Adam był w r. 1870 prefektem policji paryskiej.

N. P.

Oda poety-laureata z Liliput

Spotkaliśmy się niedawno z przyjacielem poetą i rozmowa zeszła wkrótce na aktualny temat Akademji Literatury. Zaczęliśmy omawiać skład, zastanawiać się nad tem, kto powołany zostanie na miejsce Struga (było to dopiero po jednem tego rodzaju oświadczeniu) wreszcie zajęliśmy się uwagami, jakie pojawiły się w prasie. Tak n. p. zgodziliśmy się, że hymn na cześć Akademji i jej twórców, ogłoszony przez p. Kadena-Bandrowskiego w „Gazecie Polskiej" z 22 października, czyniłby o wiele lepsze wrażenie, gdyby wyśpiewał go był ktoś, kto nie wszedł w skład „nieśmiertelników".

Nasunęło nam się następujące pytanie: Czy głównem zadaniem literata jest tworzyć, czy omawiać warunki twórczości, jej szanse materjalne, opiekę nad nią czynników państwowych, naukową organizację twórczości czyli „planową gospodarkę" w świecie duchowym i t. p. Przyjaciel poeta zawołał z przejęciem:

— Cokolwiek myślą o tem ludzie, oficjalnie uznani za najgodniejszych palm akademickich, ja odpowiadam sobie na to pytanie: tworzyć!

Postanowiłem kuć żelazo, póki gorące i odpowiedziałem:

— To napisz mi coś do najbliższego Dodatku

— Powoli — skrzywił się poeta — Do tego trzeba mieć natchnienie, a ja go w tej chwili nie czuję.

— Zawsze można być pożytecznym, przyswajając językowi ojczystemu płody obcego ducha. Przetłumacz coś.

— I to zależy od nastroju.

— A więc wybierz coś, co nie wymaga dionizejskich nastrojów — np. coś satyrycznego.

— Nic mi nie przychodzi na myśl.

— To ja ci wybiorę.

Poeta zgodził się z widoczną niechęcią. Prawdę powiedziawszy, zgniewał mnie nieco i postanowiłem się pomścić. Wziąwszy od niego uroczyste zobowiązanie, że przełoży, co mu wskażę, zacząłem myśleć nad czemś, coby go mogło odpowiednio udręczyć. I wymyśliłem. Forma godna księdza Baki, ani iskry lirycznego natchnienia, zato żądełko satyryczne wcale ostre.

Ale i sam sobie nałożyłem pracę. Muszę napisać, choć króciutki wstęp literacki.

Działo się w roku Pańskim 1726. Wyszły właśnie „Podróże Gullivera" — nie te dla dzieci, ale oryginalne, zjadliwe arcydzieło zjadliwego dziekana Swifta. Ogłosił je bezimiennie i czmychnął do Irlandji, gdzie stale mieszkał jako dziekan kościoła św. Patryka w Dublinie. Włożył w to dzieło cały swój druzgocący sąd o współczesnej Anglji, dworze, o życiu politycznem i obyczajach. Nawet najniewinniejsza część pierwsza, przedstawiająca pobyt bohatera w krainie Liliput, była złośliwym obrazem stosunków londyńskich.

Przyjaciele Swifta, Pope, Gay i Arbuthnot wiedzieli, kto jest autorem. Spotkali w książce niejedną myśl, wypowiedzianą w swej obecności, niejeden pomysł, na który wpadli z nim wspólnie w Klubie Marcina Scriblerusa. Byli zachwyceni werwą i głębokością satyry, a pragnąc Swiftowi wyrazić hołd, napisali kilka utworów poetyckich, opartych na motywach „Gullivera", i posłali mu je do Irlandji.

Wyróżnia się tu „Oda do Kwinbusa Flestryna, Człowieka-Góry" (tak nazywali Gullivera Liliputci). Łatwo w niej poznać lwi pazur Pope'a, największego poety epoki i bodajże największego satyryka angielskiego.

Poeta krzywił się i wymawiał, ale ostatecznie spełnił zobowiązanie. Co do formy, to dodał jedną zgłoskę w wierszu (oryginał zaczyna się:

In amaze
Lost, I gaze — i t. d.)

Przestawił też gdzie niegdzie rymy. Co do treści, to kłóciliśmy się właśnie o przytoczony pierwszy dwuwiersz. Przełożył go pierwotnie:

Och, osłupiały,
Wytrzeszczam gały.

Nadał mu przez to wulgarny i groteskowy ton którego niema w angielskim tekście. Gdym to wytknął, zaproponował po namyśle:

Niech w ciebie wlepię
Olśnione ślepie.

Nie przyjąłem i tych ślepiów, a po półgodzinnej kłótni urodził się tekst, który czytelnik znajdzie poniżej. Pozatem jednak tłumacz, jak na tak trudną formę, oddał bardzo wiernie tok myśli oryginału.

Nazwisko poety-laureata brzmi Titty Tit i charakteryzuje go jako prawdziwego liliputa (pośród Liliputów, a zapewne i pośród poetów). Nie trzeba dodawać, że wiersz jest satyrą na panegiryki, które były bardzo rozpowszechnione za czasów jego napisania, a dzięki którym zostawało się poetą laureatem lub osiągało inne zaszczyty i korzyści

W. T.

Do
Kwinbusa Flestryna, Człowieka-Góry.

ODA.

Napisał Titty Tit, Esquire,
poeta laureat jego królewskiej mości monarchy Liliput.

Ach, czy widzicie?
Tonę w zachwycie.
Wyniosłej skroni
Nasz wzrok nie zgoni.
Chcę uwielbienia
Wygrzmieć ci pienia,
Więc tobie cześć
I mnie też cześć!
— Cały swój czar,
Muzo, i żar
Ty z łaski swej
W pierś me wlej!
— O nim to jeszcze
Helleńscy wieszcze
Śpiewali czasem:
On jest Atlasem,
Którego ciemię
Niebiosów brzemię
Trzyma swą siłą —
Spójrzcie! Nieprawdaż! Tak jest i było.
Wytężcie wzrok:
On zrobił krok —
Ach, kraju ile
Zostało w tyle!
Pól kawał spory,
Rzeki i bory,
A dookoła
Drgnęły gór czoła
I armje całe
Stoją struchlałe,
Blade okropnie —
A nuż on kopnie...
Ludzi i konie
Ziemia pochłonie.
W lewo i w prawo
Zmykajcie żwawo,
Bo wojsko zginie,
Jego podeszwa starte jedynie
Na nic dziryty,
Bo każdy grot,
Puszczony w lot,
Padnie odbity
Od jego skóry.
On, gdy tchnie, chmury
Wypuszcza nosem,
Grom jego głosem.
Kiedy on jada,
To grozi głód:
Gdy pije, spada
Zwierciadło wód.
— Potężny duchu!
Niech przy twem uchu
Na dłoni twojej
Twój sługa stoi. —
Tego mu trzeba,
By wieszczą głową dosięgnął nieba.

Przełożył A. J.

„Muzy" - katalizatorem psychicznym

W historji kultury i sztuki obok nazwisk nieśmiertelnych twórców nieraz mniej trwałemi zgłoskami wyryte są nazwiska tych kobiet, które były źródłem natchnienia i twórczości tych artystów.

Nazwiska Dantego i Beatryczy, Praksytelesa i Fryne, Rafaela i Fornariny, są tak nierozdzielnie ze sobą złączone, że jednego bez drugiego poprostu pomyśleć sobie nie można.

Każdy wielki twórca miał swoją własną „muzę", wywierającą przemożny, a jakże dobroczynny wpływ na jego twórczość. Dotyczy to zarówno wielkich malarzy i rzeźbiarzy, jak i muzyków i pisarzy, jak nawet niejednokrotnie i uczonych. Nie tych uczonych, co ślęczą cierpliwie nad wykonaniem pewnego, zgóry wytkniętego, suchego programu pracy, lecz tych, którzy powołani są, przez swe genjalne odkrycia i wynalazki, do pchnięcia nauki i wiedzy na nowe tory.

O „muzach" tych i ich znaczeniu pisze bardzo interesująco docent dr. H. Sochański w swem studjum, zamieszczonem w nr. 43 „Polskiej Gazety Lekarskiej".

* * *

Przedewszystkiem: jakie kobiety podpadają pod określenie „muzy"? Na pierwszy rzut oka nie różnią się one niczem szczególnem od otoczenia. Przeważnie będzie to kobieta typu wybitnie zmysłowego, niekoniecznie klasycznie piękna, ale mająca w sobie ogromnie dużo swoistego uroku i wdzięku. Tysiące ludzi mija ją bez wrażenia. Aż zetknie się z nią jakiś artysta, człowiek genjalny, czy tylko mniej lub więcej utalentowany. I odrazu wyczuwa **podświadomie, że właśnie ta a nie żadna** inna kobieta będzie dla niego idealnym **katalizatorem psychicznym,** ożywiającym i podniecającym jego twórczość. Wyczucie to przychodzi błyskawicznie, a jest zawsze nieomylne.

* * *

Stosunek między artystą a jego muzą kształtuje się w sposób bardzo rozmaity. Wybranka niejednokrotnie nawet nie domyśla się, jak doniosłą rolę odgrywa sama jej obecność w twórczości danego artysty. Z reguły stosunek ten przeradza się w gwałtowną miłość ze strony mężczyzny, miłość nigdy nie sytą i nigdy nie zaspokojoną. Charakterystyczną bowiem cechą tego stosunku jest stawianie przez twórcę jego muzy na jakimś niedosięgnym piedestale. Muza, wyidealizowana do ostatecznych granic, staje się niedoścignionem marzeniem. Żywe echa tego nastawienia psychicznego znajdujemy przedewszystkiem w utworach poetyckich wielkich mistrzów słowa, w jakimkolwiek one języku były pisane. A że wielcy pisarze i artyści odznaczają się już w młodocianym wieku nadmierną wrażliwością erotyczną, na to przytoczyć możnaby cały szereg przykładów, — żeby wymienić tylko Byrona, Dantego i Rousseau, którzy „kochali się" w swych wybrankach jako chłopacy ośmio- do dziesięcio-letni.

Z drugiej znów strony wiadomo nam, że słynny poeta E. T. A. Hoffmann miał swą „muzę" w osobie dwunastoletniej dziewczynki Julji Marc, — przyczem również stosunek twórcy do niej kształtował się na platformie czysto idealnej.

Za regułę bowiem można przyjąć, że z chwilą gdy taka wyidealizowana muza zejdzie ze swego piedestału, stając się zwyczajną kobietą, kochanką czy żoną, — rola jej jako muzy jest skończona.

* * *

Przeciętny człowiek tłumaczyć to sobie będzie w sposób zupełnie prozaiczny: wymarzony ideał spowszedniał, upodobnił się do zwykłych ludzi, — a temsamem przestał działać podniecająco na wyobraźnię twórczą artysty. Garnki, rondle i rozkrzyczane dzieciaki nie wpływają dodatnio na twórczość...

Ale lekarz, omawiając ten problem, szuka przyczyn istotnych, głębszych, ukrytych. I dochodzi do nieco odmiennych wniosków. Wychodzi on z założenia, że w wielu ludziach drzemie ukryty talent, uzdolnienie w pewnym specjalnym kierunku, które objawia się nazewnątrz z chwilą, gdy nastaną odpowiednie warunki. Jednym właśnie z tych pomyślnych warunków jest obecność muzy, spełniającej rolę psychicznego katalizatora.

Wiąże się z tem cały kompleks zagadnień i przejść psychicznych. Dominującą rolę gra przy tem bodziec erotyczny. — to nie ulega kwestji. Póki jednak miłość ta przyobleka się we formy czysto idealne, — punkt ciężkości przesuwa się na gruczoł tarczycowy, który ze swej strony działa podniecająco na mózg, prowadząc do spotęgowania funkcyj psychicznych. Innemi słowy istnienie muzy wprowadza artystę w stan szczególnego podniecenia o podkładzie erotycznym, podniecenia, potęgującego i pobudzającego jego sprawność duchową. Z chwilą jednak, gdy miłość ta z idealnej przechodzi w czysto zmysłową, znika właściwy bodziec, wpływający tak korzystnie na twórczość. Artysta albo przestaje tworzyć, albo obniża wyraźnie swe podniebne loty, albo wreszcie — szuka sobie innej muzy, którą będzie tak samo idealizował.

Z powyższego wynikałoby, że rola „muzy" polega na pobudzeniu szczególnie nastrojonego mózgu, na tle erotycznem, poprzez układ wegetatywny i tarczycę aż do najwyższych centrów nerwowych. „Bez tarczycy jest podobny stan nie do pomyślenia", konkluduje dr. Sochański.

Tak to lekarz „szkiełkiem mędrca" rozprawia się z „muzami", które w ciągu długich wieków wywierały taki błogosławiony wpływ na twórczość artystów.

(k. r.)

Berlińskie psy dla bezrobotnych

Niemcy hitlerowskie doszły bardzo daleko w urządzaniu dobrowolnych obchodów i zbiórek. Zdarza się już, że na jeden dzień przypadają dwie uroczystości lub dwie okazje, przy których trzeba sięgnąć do kieszeni na rzecz państwa. Drugi z tych wypadków zaszedł w Berlinie 8 października. Jako w pierwszą niedzielę miesiąca był to dzień postu. Potrawa nie może kosztować więcej, niż 50 fenigów, a różnicę z normalnym wiktem oddaje się organizacji hitlerowskiej. A w Tiergartenie psy zbierają na bezrobotnych. Dosłownie Posuwa się zwolna długa procesja psów, na których szyjach wiszą puszki. Tylko przy mniejszych okazach, jak np. jamniki, kroczą właściciele z puszkami w rękach, ale i psia liliputy mają tabliczkę z napisami, wzywającemi do ofiarności. Dalej suną auta aktorek i gwiazd filmowych. Każda trzyma na kolanach lub obok siebie swe ulubione zwierzątko — i puszkę. Gwiazdorzy filmowi prowadzą swe psy na linawkach, a szczodrym ofiarodawczyniom dają na pamiątkę autografy. Prócz tej procesji odbyły się psie wyścigi i wystawa oraz popis psów policyjnych.

—0—

Romans awanturniczy pisarza

To jest pewnem, że dla Alfonsów i Blasco Ibaneza równocześnie miejsca w Hiszpanji być nie mogło. Był Ibanez agitatorem politycznym i siedmiokrotnym członkiem parlamentu, był finansistą i zapalonym kolonizatorem, był „tenorem literackim" (olbrzymie honorarja!) i jednym z najznakomitszych pisarzy hiszpańskich — przedewszystkiem jednak należy mu się niewątpliwie miano **fanatyka republikanizmu**.

Sam o sobie mówi następująco: „Jestem człowiekiem czynu i w życiu miałem ważniejsze zajęcia, niż fabrykowanie książek". A przecież — pomyślcie, co za paradoks życiowy — „fabrykowanie książek" właśnie przyniosło Ibanezowi nietylko za grobem zwycięstwo, ale majątek, rozgłos i sławę jeszcze za życia.

* * *

Historję życiową Ibaneza można nazwać romansem awanturniczym, zawiera bowiem w sobie wszelkie cechy sensacyjności, niezwykłości i barwności. — W tem miejscu ktoś zechce może zauważyć, że biografje amerykańskich królów smalcu, stali, zabawek itd. są kubek w kubek podobne do romansu życiowego Ibaneza. Zgoda, — ale jest i pewna różnica: przeżycia pisarza zostały utrwalone w jego książkach, z których każda niemal jest **monumentum aere perennius**. A to przecież coś znaczy.

* * *

Światłość doczesną ujrzał Ibanez w **Walencji**, znanej współczesnym jeżeli nie z geografji, to napewno z tak modnej niedawno piosenki. Zapał pisarski obudził się w nim wcale wcześnie, bo już w 16-tym roku życia jest autorem opasłego tomu powieści historycznej. Nietrudno się jednak domyśleć, że **syn sklepikarza** z Walencji we własnem mieście nie mógł zostać prorokiem: takie już jest w każdej epoce obowiązujące prawo życia, które w konsekwencji zdaje się potwierdzać prawdziwość innego: trzeba wyjść naprzeciw szczęścia, aby je zdobyć.

Ibanez ucieka **do Madrytu**. Tu nie znalazł wprawdzie odrazu szczęścia i wydawcy, ale przypadkowo zetknął się z Kraszewskim literatury hiszpańskiej — **Fernandezem y Gonzales.**

Przypadek okazał się szczęśliwy w skutkach.

* * *

Ibanez ujął Gonzalesa swoją inteligencją i został przezeń zaangażowany w charakterze sekretarza osobistego. Ten fakt przesądził o jego karjerze życiowej, która od tej chwili zacznie się rozwijać z błyskawiczną niemal szybkością.

Zrazu młodziutki aspirant literatury przelewa cierpliwie na papier to, co mu dyktuje Gonzales, nie zapominając równocześnie w wolnych od obowiązku chwilach o samokształceniu się. Czyta dużo i z wyborem, odrazu bowiem uświadamia sobie i własne zainteresowanie i swój cel życiowy. Dzieła, traktujące **o rewolucji**, są dlań najmilszą lekturą. Znacznie później do nazwisk Lamartine'a Blanca i Michelet'a dojdą równie umiłowane: Cervantesa i Victora Hugo.

Nic dziwnego, że pod wpływem takiej lektury, pisze rewolucyjny w treści i nastroju sonet **„Audiencia Criminal"**, za który wędruje na 6 miesięcy do więzienia.

To był początek. Odtąd słowa: więzienie, ucieczka, amnestja, powrót — będą się często powtarzać w biografji chluby literatury hiszpańskiej.

* * *

W rok po wyjściu z więzienia Ibanez musi uciekać **do Paryża**, skąd w r. 1891, korzystając z ogłoszonej amnestji, wraca **do Walencji**, gdzie rozpoczyna działalność polityczną w duchu republikańskim. Wydaje dziennik radykalny **„El Pueblo"**, prowadzi ożywioną agitację polityczną, pisząc równocześnie raczej na marginesie swych właściwych zajęć i zainteresowań, szereg **powieści regionalnych**. W czasie jednej z manifestacyj, zorganizowanych przez Ibaneza w r. 1895, z racji antyhiszpańskiej rewolty na Kubie, — dochodzi do krwawych starć między wojskiem a demonstrującym przeciw wojnie tłumem walencjańczyków. W rezultacie Ibanez zaocznie zostaje skazany na śmierć, od której ratuje go powtórna ucieczka.

Amnestja umożliwia mu powrót do kraju, ale po to chyba tylko, by — zamieszany znowu w jakąś działalność wywrotową — stanął przed sądem wojennym. Skazano go na 14 lat więzienia, z którego wyszedł po dwóch latach dzięki uwzględnieniu przez **regentkę Marję Krystynę** petycji literatów i dziennikarzy, wstawiających się za uwięzionym kolegą po piórze.

* * *

Odtąd życie fanatycznego rewolucjonisty toczyć się będzie pozornie spokojniejszem korytem. Wybrany przez wyborców z Walencji posłem — zasiada w parlamencie przez sześć kadencyj i siódmego z rzędu wyboru nie przyjmuje, twierdząc, że jest w Hiszpanji kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy będą umieli sprawować czynność posła, ale nikt nie zastąpi go w pisaniu książek.

Zaczyna podróżować: Zwiedza Europę, Małą Azję, a wreszcie urządza tourneé odczytowe po Ameryce południowej, które przynosi mu sporo pieniędzy. Poczuwszy pełnę kiesę, zabawia się przez dłuższy czas w kolonizatora trenerów nad **Rio Negro** w Patagonji, zakładając dwie kolonje: „Cervantes" i „Nowa Walencja", w których pracują same typy z pod ciemnej gwiazdy.

Po kilku latach, kiedy praca kolonizatorska zaczyna się opłacać, krach banku, w którym Ibanez miał udziały, kładzie kres całej imprezie. Ibanez wyjeżdża do Europy, znajdującej się akurat w przededniu wielkiej wojny. Z chwilą jej wybuchu osiada w Paryżu i w charakterze dziennikarza - publicysty pracuje na rzecz Ententy, pisując mnóstwo artykułów do pism na drugiej półkuli.

W tym gorącym okresie powstaje powieść, która ugruntowała jego pozycję literacką, — **„Czterej jeźdźcy Apokalipcy"**. Przekład amerykański tej powieści osiąga w ciągu dwu lat (1918—20) **rekord 150 wydań z 5.000.000 egzemplarzy**, zdobywając szturmem czytającą Amerykę.

Ibanez zdobywa pieniądze i sławę, którą umacniają dalsze powieści: „Mare Nostrum", „Wrogowie kobiet", „Wśród pomarańcz", „El catedral", itd. Ostatnia z nich „U stóp Wenus", drukowana jest w odcinkach około 800 pism amerykańskich. Na Ibaneza sypią się zaszczyty i tytuły obu półkul.

* * *

Jeszcze raz odwiedza Ibanez Amerykę (północną tym razem) bezpośrednio po wojnie światowej. Po powrocie do Europy, nie mogąc zamieszkać w monarchistycznej Hiszpanji osiedla się na stałe w **Mentonie**, gdzie ma wspaniałą willę i jacht, gdzie pędzi życie multimiljonera.

Tu też umiera, do ostatniej chwili nie wypuszczając z ręki pióra, którem gromił tyranję Alfonsa XIII. Stąd też — — jak doniosły dzienniki — przed kilku dniami zwłoki jego, po dokonaniu ekshumacji, odpłynęły na okręcie do Hiszpanji.

To była, zdaje się ostatnia podróż i ostatni powrót do ojczyzny pisarza, który sam o sobie powiedział: „Jestem człowiekiem czynu i w życiu miałem ważniejsze zajęcia, niż fabrykowanie książek. Byłem agitatorem politycznym, i prawie cała moja młodość ubiegła w więzieniu. Dwukrotnie skazywano mnie na karę śmierci. Znam wszystkie nieszczęścia, jakie mogą spaść na człowieka, nie wykluczając najstraszliwszej nędzy i głodu. Siedm razy wybierano mnie do parlamentu: naczelnicy państw obcych nazywali mnie swym przyjacielem. Później stałem się finansistą: zakładałem kolonje w Ameryce południowej i przez ręce moje przepływały miljony. Piszę o tem tylko dlatego, abyście zrozumieli, że wolałem zawsze przeżywać romans, niż romans na papierze układać"

(wł. p.)

Czy zwłoki Liszta będą przeniesione?

Liszt pozostawił kilka testamentów. W jednym z nich rozporządził, aby zwłoki jego złożono w podziemiach kościoła franciszkanów w Budapeszcie i to ubrane w habit franciszkański.

Wedle innej ostatniej woli jednak miał być pochowany tam, gdzie umrze. Ponieważ stało się to w Bayreuth, tam też odbył się pogrzeb. Obecnie uchwalono na posiedzeniu budapeszteńskiego Towarzystwa Lisztowskiego sprowadzić ciało kompozytora do stolicy Węgier — o ile naturalnie w Bayreuth na to się zgodzą.

Kłopoty węgierskich hitlerowców

Rząd węgierski zabronił noszenia jako odznaki swastyki, a przekroczenie tego przepisu karane jest grzywną blisko 300 zł. Wobec tego zaczęto myśleć o innem godle. Zoltan Meszko, pierwszy pionier ruchu hitlerowskiego na Węgrzech wprowadził strzałę w kształcie krzyża, a na przedmieściu stołecznem Pesztszenterzebet postanowiono używać znaku krwawego miecza. Oparto się na tradycji, gdyż w zaraniu dziejów węgierskich krwawy miecz był czemś w rodzaju naszych wici. Obnoszono go po wsiach dla zwoływania pospolitego ruszenia.

—0—

Humor na falach eteru

I na tym terenie, — jak na tylu innych o ile idzie o rozwój życia kulturalnego czy umysłowego, — palmę pierwszeństwa dzierży Lwów.

Zaczęło się to w Noc Sylwestrową, 31 grudnia 1930, kiedy to rozgłośnia lwowska nadała na wszystkie stacje Polskiego Radja wesołą rewję „Sza! Lwów gra!" Audycja ta, reżyserowana przez p. Wiktora Budzyńskiego (obecnie kierownika działu wesołych audycyj rozgłośni lwowskiej) zyskała sobie powszechne uznanie. Zwłaszcza podobał się jeden z punktów programu „Na lwowską nutę", — będący pierwszą próbą radjofonizacji regionalizmu lwowskiego, z jego miłym, śpiewnym djalektem, nadającym się (jak się pokazało) jak żaden inny do odpowiedniego wyzyskania przed mikrofonem. (Coprawda, — trzeba na to odpowiednich wykonawców, znających wszystkie najsubtelniejsze niuanse tej specyficznie lwowskiej gwary z jej „tajojkami" i „cajerączkami"... A pod tym względem Radjo lwowskie odrazu potrafiło znaleźć „odpowiednich ludzi na odpowiedniem miejscu".).

Szły potem przez rok 1931 i 1932 rozmaite lokalne i ogólnopolskie wesołe audycje... Aż dopiero w jesieni 1932 pękła bomba: Radjo lwowskie nadaje „Pierwszą wesołą Niedzielę radjową", zrywając z utartym już szablonem „słuchowisk", czy „muzyki z płyt" lub „transmisji lekkiej muzyki" z którejś z kawiarń lwowskich czy warszawskich. Pierwsza wesoła niedziela, — z nieodzownym folklorem łyczakowskim...

Sukces niebywały! Do Dyrekcji napływają setki listów, dzwonią przez cały dzień telefony... Pochwały i słowa uznania przyjmuje Dyrekcja początkowo dość... krytycznie, jako że napływały one przeważnie ze Lwowa. A we Lwowie — miły Boże! — autorzy i wykonawcy owej audycji mają przecież tylu znajomych, sympatyków, przyjaciół, krewnych... Więc kto wie, czy... i t. d.

„Wesołe Niedziele" nadaje się nadal. Budzą one naprawdę coraz żywsze zainteresowanie. Listy napływają coraz obficiej, ze wszystkich stron Polski, — bo stopniowo i Kraków i Katowice transmitują fragmenty, tych „Niedziel", — ba, nawet i Warszawa włącza się niekiedy!

„Niedziel" takich nadano osiem. Pokazało się, że stanowiły one „clou" całego programu rozgłośni lwowskiej, — przysporzyły jej setki abonentów, którzy pragnęli znaleźć w radjo choć raz na tydzień trochę zdrowego humoru, choć raz na tydzień uśmiać się serdecznie i niefrasobliwie z kochanego Tońka i Szczepka, słuchając ich djalogów, opowiadań i wrażeń.

Niewątpliwy ten, wyjątkowy sukces sprawia, że wreszcie Centrala Polskiego Radja postanawia udostępnić „Wesołe Niedziele" wszystkim radjosłuchaczom. I oto dnia 16 lipca b. r. radjostacja lwowska nadaje pierwszą ogólnopolską niedzielną wesołą audycję pod nazwą „Na wesołej lwowskiej fali", — co od tego czasu staje się regułą.

O ile poprzednio trwały te audycje zazwyczaj od godz. 16 do godz. 23, — to obecnie zajmują one godzinę czasu (od 21.15 do 22.15) — co okazało się zmianą bardzo korzystną. Abstrahując już bowiem od nieuniknionego znużenia, jakie ogarniać musiało każdego radjosłuchacza (siedem godzin — z małemi tylko przerwami!) — niepodobna było wypełnić co tydzień siedmiogodzinnego programu rzeczami równorzędnie wartościowemi, skutkiem czego program w całości nie zawsze odpowiadał stawianym wymaganiom. Bo zresztą, — co za dużo, to nie zdrowo, nawet śmiech, zastrzyknięty w zbyt dużej dawce, może utracić swe cudowne własności, jako lekarstwo na nudy, smutną szarzyznę i przygnębienie.

Natomiast audycja wesoła, trwająca godzinę, — to skondensowany ekstrakt humoru, dowcipu i wesołości, — to posilny i orzeźwiający buljon, — a nie wodnista zupka, po której pływają tylko tu i ówdzie tłuste oczka...

Bo przytem co za współpracownicy! Proszę siadać! Niezrównany satyryk Baort, i Zbierzchowski i Budzyński i Tepa i Fleischer i Schlechter i Tad. Seredyński, — żeby wymienić tylko najważniejszych. Każdy oryginalny, każdy „specjalista" od takich czy innych „kawałów", każdy z nich rozkochany poprostu w tych „niedzielach", dzięki którym Lwów znowu przypomniał się całej Polsce.

I żeby to tylko Polsce! Dzięki transmitowaniu tych audycyj przez olbrzyma raszyńskiego zasięg ich słyszalności rozszerzył się daleko poza granice kraju. Słuchają ich rodacy nasi na obczyźnie: wśród pięciu tysięcy prawie listów, jakie radjostacja lwowska dotąd otrzymała w związku z niedzielnemi audycjami znajdują się listy i z Francji i z Warmji i z Prus Wschodnich i z Czechosłowacji i z Rumunji. A jakie to listy! Pisane nieudolnie, czasem nawet nie ortograficznie, przez ludzi rozmaitego wieku i stanu. W słowach prostych, niewyszukanych wyrażają zadowolenie i uznanie, — ci ludzie, stęsknieni za polską mową, delektujący się tym typowym, lwowskim, niedoścignionym humorem.

To też obecnie wesołe audycje lwowskie wchodzą już w stały skład audycyj Polskiego Radja na sezon jesienny i zimowy. I co niedzielę setki tysięcy głośników w Polsce i za granicą rozbrzmiewać będą wesołemi skeczami, djalogami, piosenkami, idącemi w daleki świat ze studja lwowskego radja.

(Lucy)

Prusy Wschodnie kolebką literatury polskiej

Nie można wątpić, że w wieku, który widział największą potęgę polskiego państwa, literatura polska, jako wyraz wielostronnej świadomości narodowej, nie istniała. Trudno bowiem uznać za jej wyraz kilka łacińskich kronik, kilka łacińskich traktatów politycznych, nieco łacińskich wierszy. Ani Wielkopolska, ani Małopolska, choć stały się kolebką polskiej państwowości, na twórczość literacką w języku narodowym się nie zdobyły, choć na zachodzie było całkiem inaczej i rozwojowi narodów niemieckiego, francuskiego, angielskiego, włoskiego, hiszpańskiego, a nawet czeskiego towarzyszyła bogata twórczość w dziedzinie epiki, liryki, dydaktyki w prozie i w wierszu.

To też wiek ostatnich Jagiellonów, jako lennych panów Prus Wschodnich, staje się wiekiem budzenia się polskiej twórczości. Niestety, ogranicza się do przekładów, do popularnych romansów, do nieskładnych wierszy, które z wysoką kulturą dworskiej elity w żadnym nie stoją związku. Ta elita używa zaś dalej łaciny, skoro nawet synowie chłopscy, jak poeta Klemens Janicki, poza nią nie wychodzą. Nie przystoi bowiem wychowankowi wyższej kultury używać języka, który jest językiem prostaków wiejskich i nieuczonej szlachty, co napróżno domaga się na sejmikach książek w języku polskim.

I oto na przekór humanistom, co, jak Hozjusz, Frycz, Kromer, Krzycki, piszą traktaty religijne, dzieła polityczne, prace historyczne, wreszcie wiersze po łacinie jeszcze około połowy wieku XVI, a więc w szóstym wieku istnienia polskiej państwowości, zaczyna, w granicach polskiego lenna, stawiać pierwsze nieśmiałe kroki twórczość w języku polskim. Lenno pruskie jest bowiem zasiedlone w znacznej części ludnością mazurską, a żywioł niemiecki skupia się tylko w okolicach Królewca, gdzie wypiera tubylczy żywioł staropruski, a na północnym wschodzie litewski.

W Królewcu powstaje uniwersytet, gdzie spieszy młodzież polska ze wszystkich dzielnic państwa. Nauczają tam znakomici magistrowie, którzy współzawodniczą z krakowskimi erudycją i humanistycznym polorem. W Królewcu pojawiają się pierwsze polskie kancjonały, piszą się polskie postylle, drukują polskie przekłady tekstu biblijnego. Triumfuje tam polski obóz reformacyjny z pionierami ruchu Samuelem, Seklucjanem, Trepką, Trzecieskim pod skrzydłami Albrecta Pruskiego, co ściąga do owego miasta synów szlacheckich, jak Rej, Kochanowscy, Otwinowscy i legion innych.

Ojciec literatury polskiej, Rej, odnosi się z całym pietyzmem do dzieła królewieckiego, by poświęcać księciu pruskiemu wiersze pełne czci i uznania. Jej największy poeta, Jan Kochanowski, jest dworzaninem książęcym, pisze dla dworu królewskiego swe pierwsze elegie, czerpie z funduszów patrona środki na wyjazd zagranicę. Królewiec i Prusy nie są bowiem zagranicą, skoro stanowią część polskiego państwa i jego potrzebom służą.

Na sejmie zaś ogromna większość posłów zwraca się do Albrechta Pruskiego, jako do mecenasa, obrońcy ruchu reformacyjnego, senatora, w którego ręku leży może i przyszłość polska. Zygmunt August nie celuje bowiem energją w załatwianiu pilnych spraw egzekucyjnych, jak nazywa się wtedy reformy państwowe. Sejm wyraża zaś wtedy zdrową część narodu, co pragnie wzmocnienia władzy rządowej, usunięcia przywilejów stanowych, a szczególnie duchowieństwa, wzmożenia skarbu i poprawy sądownictwa, wreszcie lepszej obrony na zewnątrz. Stronnictwo reformy domaga się też praw dla języka polskiego w kościele, na sejmie, wreszcie w szkolnictwie.

Te wszystkie dążenia opierają się o Królewiec, gdzie tkwi ośrodek całego oddziaływania na Poznań, Wilno, Kraków. Tam zwracają się oczy senatorów, co korespondują z Albrechtem Pruskim w sprawach kultury, tam zdąża nawet szara brać szlachecka i mieszczańska po naukę, tam znajdują oparcie i pomoc wszystkie przedsięwzięcia drukarzy, co szerzą w państwie broszury agitacyjne, katechizmy, kancjonały, traktaty moralizujące. Narodziny literatury polskiej dokonywują się pod kątem wyznaniowym.

A ośrodkiem wyznaniowym są wtedy Prusy Wschodnie, gdzie nawet małe miasteczka, jak Ełk, posiadają drukarnie polskie, co przeznaczają swe druki nietylko dla miejscowej ludności mazurskiej, ale i całego państwa Jagiellonów. Znaczy to że triumfalny pochód reformacji ma początek w pruskim luteranizmie, co zakorzenia się w miastach pomorskich i wielkopolskich, sięga w puszcze litewskie, by znaleźć oparcie w Wilnie, wreszcie kusi się o Kraków, by wszędzie szerzyć pragnienie odmiany, dążyć do zeświecczenia szkół, do naprawy obyczajów i karności kościelnej, umacniać wpływ języka narodowego.

Polskie państwo nowożytne ze swym królem, którego władzę ograniczają prawa, ze swym senatem i sejmem, który dzieli z nim władzę, ze swymi trybunałami, które wydają kolegjalne wyroki sądowe, ze swemi wyższemi i średniemi szkołami o charakterze humanistycznym i udziałem żywiołu świeckiego, ma źródło w ruchu zdążającym do podniesienia kultury mas. Jego kultura prawnicza gruntuje się również w tym ruchu, bo trudno jej pojąć bez zbieracza statutów i zwolennika reformy Jakóba Przyłuskiego. Statyści, jak Orzechowski, Frycz, czerpią swe podniety w tym ruchu, a wieńcząca to wszystko kultura literacka lat Kochanowskiego ma za swe źródło wskazania królewskie. Uniwersytet krakowski pozostaje bowiem ciągle w tyle, gdyż ani humanizm ani reformacja nie znajdują w nim prawdziwych i wytrwałych zwolenników. Stąd pochodzi emigracja młodzieży do Królewca, względnie do Niemiec, których dążności kulturalnych jest Królewiec najdalej na wschód wysuniętą placówką. Te dążności, co zmierzają do umocnienia władzy państwowej, umoralnienia kleru, podniesienia szkół, wychodzą na pożytek państwu. Pod ich wpływem wzmaga się świadomość narodowa szerszych warstw, co przychodzą do głosu. Pod ich wpływem budzi się poczucie niebezpieczeństwa także w klerze katolickim, który, za przykładem Królewca, poczyna zwracać się do pogardzonego języka polskiego jako narzędzia agitacji.

Zaciekli łacinnicy, jak Kromer, Orzechowski, Wujek i inni, ogłaszają dialogi, traktaty, przekłady tekstu biblijnego po polsku. Z Królewca grozi bowiem zalew propagandy tem więcej, że sprowadza on najtęższych głowaczy ruchu na zachodzie, co zwracają się do króla z wołaniem o reformę. Im spieszy zaś w pomoc działacz reformacyjny Rej, co swą rozległą działalnością o charakterze wyznaniowym dowiódł, że Polacy nie gęsi, ale swój język mają. Za jego przykładem idzie zaś odsuwający się od łaciny Kochanowski.

Jeżeli zaś kultura polska sięga swemi wpływami na Litwę, Białoruś, Ukrainę i do Moskwy, zawdzięcza to autorytetowi literatury, co staje się potężnem narzędziem państwowej propagandy. — Pisać po polsku nietylko dla elity, ale i mas nauczono się pod działaniem inicjatywy Królewca, gdzie zjawiły się też pierwsze druki litewskie. Jeżeli mała kultura litewska tam znalazła swe oparcie, tem bardziej nie mogła nic oprzeć się o nie polska, jeżeli chciała sięgnąć po władztwo od Odry i Dniepru i od Karpat do Bałtyku.

Nie jest tedy przesadą, jeżeli uważa się Prusy Wschodnie za kolebkę polskiej literatury. W świadomości, że stanowią one część państwa, szlachta domagała się ich wcielenia do jedności, jak to stało się z Litwą. Stanowiły one część państwa, bo dawały inicjatywę w tem, co powinno było należeć do Wielkopolski lub Małopolski. Ich jedność z państwem polskiem znajduje w tych inicjatywach pełne potwierdzenie a zarazem naukę dla przyszłości.

DR. TADEUSZ GRABOWSKI
Prof. Uniwersytetu Poznańskiego

Nowości z przyrody i techniki

Nowy aparat do walki z rakiem. Lekarz odesski D. G. Feldsztein i inż. D. D. Maksutow wynaleźli niedawno nowy aparat, który przyczyni się w znacznym stopniu do ułatwienia walki z rakiem i innemi chorobami żołądka. Aparat ten nazywa się fotogastrograf i służy do bezbolesnego fotografowania wnętrza żołądka. Jest to rodzaj sondy żołądkowej (o średnicy 8 mm.), zaopatrzonej w miniaturową foto-kamerę z 8-ma objektywami, które dają możność sfotografowania w ciągu 25 do 30 sekund ścianek wewnętrznych żołądka, dostarczając w ten sposób dokładny obraz najdrobniejszych zmian w błonie śulzowej.

Złoto w rzece Łabie. W Sowjetach w okręgu Łabińskim oddziały wywiadowcze odkryły żyły złota, idące wzdłuż doliny rzek Wielkiej i Małej Łaby. Próbna eksploatacja jednej z tych żył dała kilka kilogramów złota. Badanie wykazało, że złoto łabińskie nie ustępuje pod względem jakości jakuckiemu. W miasteczku Kejston, w pobliżu rzeki Łaby, rozpoczęto już budowę kombinatu „Łaba-zołoto", który będzie zaopatrzony w konwejery i przyrządy do przemywania złota. Wszystkie czynności, związane z wydobywaniem i oczyszczaniem złota, będą zmechanizowane. Kombinat rozpocznie swą działalność już w 1934 roku.

Konferencja w sprawie badań nad jądrem atomu. W Leningrodzie zakończyła swe prace Wszechzwiązkowa Konferencja w sprawie badań nad jądrem atomu, która zamknięta została posiedzeniem uroczystem w Wyborgskim Domu Kultury.

Badanie wyników naukowych lotu do stratosfery. Specjalna komisja pod przewodnictwem naczelnika Zarządu Głównego Zjednoczonej Obsługi Hydroplanów ZSRR., prof. Wagenheima, z udziałem prof. Mołczakowa i in. zajęła się badaniem wyników naukowych lotu stratostratu „ZSRR.". Na zasadzie zapisu aparatów oraz danych punktów obserwacyjnych na ziemi komisja dokładnie określi wysokość jego lotu do stratosfery. Rezultaty prac tej komisji będą ogłoszone w dniach najbliższych. Istnieją dane, pozwalające przypuszczać, iż istotna wysokość ostatniego lotu do stratosfery jest wyższa, niż było ustalone na zasadzie notowań aparatów (altimetrów i barografów), to znaczy wyższa niż 19.000 metrów. B.

Ze świata książki

Nowe dzieło Ks. Arcybiskupa Teodorowicza

Na półkach księgarskich ukazała się nakładem księgarni św. Wojciecha, praca **J. E. Ks. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza pt. Zjawiska mistyczne i ich tłumaczenia** (Konnersreuth).

Jak sam tytuł wskazuje, książka Ks. Arcybiskupa Teodorowicza traktuje o zagadnieniu doniosłem i ciekawem, a zarazem aktualnem ze względu na polemikę dookoła Konnersreuth. Polemika z ojcem Siwkiem T. J. dała też asumpt Ks. Arcybiskupowi do napisania powyższej książki. Mimo że sprawa Teresy Neumann z Konnersreuth przewija się przez całą książkę Ks. Arcybiskupa Teodorowicza, to jednak nie kwestja prawdziwości zjawisk stygmatycznych w Konnersreuth zajmuje szczególnie uwagę Czcigodnego Autora, ale głównie sprawa metod naukowych w badaniu zjawisk mistycznych. Przy tej sposobności Ks. Arcybiskup omawia pozytywnie szereg problemów, dotyczących wizji, ekstaz, cudów.

Dr. Ludwik Łakomy: „Prawda o Hitlerze i o żydach" (wydawn. K. Miarki w Mikołowie. Cena zł. 3. —).

Opierając się na głośnej dziś w całej Europie książce Hitlera „Mein Kampf", kreśli autor profil duchowny dzisiejszego wodza nacjonalizmu niemieckiego, oraz program polityczny tej, jedynej dziś w całych Niemczech partji, płonącej żądzą odwetu podboju ziem za wschodnią granicą Niemiec i wytępienia słowiaństwa.

Osobny rozdział poświęcony jest kwestji żydowskiej w Niemczech i w Polsce, oraz roli, jaką odgrywali Żydzi w Rzeszy niemieckiej przed przewrotem hitlerowskim. Rozdział ten, poparty licznemi cytatami z pism uczonych, myślicieli i polityków całego świata, zasługuje na baczną uwagę polskiego czytelnika, otwiera mu bowiem oczy na niejedno, o czem dotychczas bardzo mało albo i nic nie wiedział i czego nie potrafił zrozumieć.

„Patrzmy ze spokojem na Zachód i bądźmy gotowi", — tem hasłem kończy autor swoją interesującą pracę, której pojawienie się, szczególnie w obecnej chwili, powitać należy z zadowoleniem. Książka to pożyteczna i potrzebna.

Antoni Heinrich (Tonny). Podręcznik kajakowca. — Główna księgarnia Wojskowa, Warszawa. Cena zł. 3.50). Sport kajakowy rozwija się u nas coraz bardziej. W parze z tem idzie rozrost i wzbogacenie się naszej literatury fachowej z tego zakresu i to zarówno w odniesieniu do podręczników konstrukcyjnych jak i prac techniczno - informacyjnych. W piśmiennictwie z tej dziedziny poczesne miejsce zajmuje teoretyk i praktyk kajakowego sportu Antoni Heinrich. Z pod jego pióra wyszły już „Szlaki wodne Polski" i „Budowa kajaków drewnianych".

Obecnie ukazuje się trzecia książka tegoż autora pt. „Podręcznik kajakowca". W odróżnieniu od dwóch poprzednich prac, omawiany podręcznik zapoznaje czytelnika ze stroną techniczną sportu kajakowego. W poszczególnych rozdziałach omawia autor wartość i znaczenie kajakarstwa, jego historję, następnie sprzęt kajakowy, technikę sportu kajakowego wraz z żeglowaniem, opisuje wody nasze odpowiednie do uprawniania sportu kajakowego, omawia zawody kajakowe oraz wędrówki i wycieczki. Na końcu pracy znajdujemy część jej urzędową, a więc regulaminy, instrukcje, statuty, listy klubów itp. Pracę zdobią liczne ilustracje.

Na zakończenie parę słów, dlaczego podręcznik ten ukazuje się dopiero teraz — na jesieni. Zdaniem autora kajakarstwo powinno, równie dobrze być uprawiane zimą jak i latem. Przecież sam sprzęt przybył do nas nie z słonecznych krajów południa, lecz przeciwnie z krajów wiecznej zimy i lodów. Odpowiednio dopasowany do warunków ubiór, podobny do narciarskiego, z tem jednakże, by nogi były cieplej zabezpieczone i to w nieobcisłe ubranie — pozwoli kajakowcowi zażywać dowoli tych samych rozkoszy zimą co latem.

—O—